

Czuwać musi tajniak...

20 października 2009

Z globalnym ociepleniem, jak wiadomo, żartów nie ma. Jak jest rozkaz, żeby walczyć, to – mówi się – trudno. Nic też dziwnego, że 14 października, zamiast kontynuowania złotej, polskiej jesieni, jak to dawniej bywało, nastąpił atak zimy, i to tak srogiej, aż niektórzy ludzie, to znaczy, konkretnie ci, których atak zastał w stanie wskazującym na nadużycie, nawet umierają z wychłodzenia.

Ale jak walka, to walka; ofiary muszą być. Ale mniejsza o ofiary; nie ma takich ofiar, których bojownicy w walce z globalnym ociepleniem nie byliby gotowi ponieść w słusznej sprawie. Znacznie ważniejsze jest to, że ochłodzenie też nie lepsze. Podstępny atak złowrogiej zimy obnażył wszystkie słabości naszego państwa prawnego, podobnie jak w swoim czasie trzęsienie ziemi w Armeńskiej SRR obnażyło wszystkie słabości miłującego pokój Związku Radzieckiego. Jak pamiętamy, mimo iż nikt nie bombardował tam szlaków komunikacyjnych ani nie ustała praca przemysłu i handlu, a armia nie była zajęta walkami frontowymi, to wielkie mocarstwo przez bodajże tydzień nie potrafiło zorganizować pomocy dla ofiar tej naturalnej katastrofy i w zniszczonych miejscowościach ludzie musieli radzić sobie sami. U nas też; ledwo tylko spadło trochę śniegu, zaraz całe połączenie kraju zostały pozbawione energii elektrycznej, co – jak łatwo się domyślić – oczywiście nie poprawiło sprawności działania służb państwowych, które nie mogły skorzystać z komputerów. W rezultacie ludzie musieli radzić sobie sami, tak samo jak za króla Ćwieczka, z tą oczywiście różnicą, że król Ćwieczek nie katował ich takimi podatkami, jak obecne władze demokratycznego państwa prawnego, urzeczywistniającego zasady sprawiedliwości społecznej. Ale mówi się – trudno; nie można mieć wszystkiego naraz. Albo demokracja i sprawiedliwość społeczna, albo wolność i dobrobyt.

Zresztą – jakże nasze demokratyczne państwo prawne, urzeczywistniające – i tak dalej, może zajmować się walką z lokalnym ochłodzeniem, jakie nastąpiło w następstwie globalnego ocieplenia, skoro ma na głowie sprawy znacznie ważniejsze, związane z toczącą się akurat wojną na górze? Oto zanim premieru Tusku udało się zdymisjonować szefa CBA Mariusza Kamińskiego i wsadzić tam dotychczasowego szefa CBŚ, żeby zorientował się, jakie jeszcze haki złowrogi Mariusz Kamiński przygotował na dygnitarzy PO, odwoływany szef CBA zdążył jeszcze, za pośrednictwem tygodnika „Wprost”, opublikować stenogramy rozmów telefonicznych prywatyzatorów stoczni w Gdyni i Szczecinie, i to w dodatku nie z jakimiś tam katarskimi szejkami z tysiąca i jednej nocy, tylko te, jakie dygnitarze owi toczyli między sobą i to otwartym tekstem. Wynika z nich wyraźnie, że ich zadaniem było stworzenie odpowiednich warunków, by razwiedka mogła przeprowadzić swoje szwindle z udziałem Libańczyka Abdula Rahmmana el Assira, z którym razwiedczycy nas już wcześniej kręcili lody przy handlu bronią, w charakterze przyzwoitki, a co najważniejsze – że wszystkie te działania nie były obce również ministru Grada. Indagowany na gorąco w tej sprawie Paweł Graś „zdenerwował się wtedy okropnie” i powiedział, że jeśli ci dygnitarze, wiedząc przecież, iż prywatyzacja stoczni została na żądanie ministra Grada objęta „ochroną kontrwywiadowczą”, toczyli między sobą takie rozmowy telefoniczne, to są „idiotami”. A ja myślę sobie, że właśnie dlatego toczyli między sobą takie rozmowy, bo wydawało im się, że skoro prywatyzacja objęta została „ochroną kontrwywiadowczą”, to znaczy, że jest bezpiecznie, że starsi i mądrzejsi nikomu nie pozwolą zrobić krzywdy, a w związku z tym można śmiało mówić otwartym tekstem. Po cóż bowiem minister Grad miałby domagać się ochrony kontrwywiadowczej, jeśli nie w tym właśnie celu? Po cóż w ogóle istnieje razwiedka i zinfiltrowane przez nią tajne służby naszego państwa prawnego, jeśli nie po to, by lody można było kręcić bezpiecznie? Tak było zawsze i nawet pozostawiło to ślad w narodowej kulturze w postaci piosenki, której refren brzmi: „ale żeby złodziej lody kręcić mógł,

czuwać musi tajniak, czuwać musi tajniak, czuwać musi tajniak, by nie przeszkodził wróg!”.

I okazało się, że słuszna ich racja, bo starsi i mądrzejsi najwyraźniej zorientowali się, że eskalacja wojny na górze może doprowadzić do niepożądanych następstw w postaci ujawnienia różnych wstydliwych zakątków i szczegółów okupacji kraju przez rozwiędkę. Pojawiły się tedy anielskie głosy moralnych przywódców naszego umęczonego narodu, piętnujące potępieńcze swary partii politycznych, przypominające, że „zgoda buduje” – a w sukurs ruszył również Salon z niezawodną „Gazetą Wyborczą” na czele, dowodząc dokumentnie, że „nic nie było”, że stenogramy tych rozmów to nie są żadne dowody, że prawo przecież nie zostało złamane i w ogóle – o co właściwie chodzi w tej całej kampanii nienawiści przeciwko premieru Tusku i Platformie Obywatelskiej. Takie głosy muszą działać kojąco zwłaszcza na pobożnego posła Gowina, który wprowadzenie wypacał z siebie tyle tłuszczy co poseł Chlebowski, ale całą swoją postawą i cichym głosem dawał do zrozumienia, jak cierpi z powodu tej próby politycznego sumienia. Teraz musiał poczuć ulgę, chociaż z drugiej strony, taki trening każdemu sumieniu się przyda, o czym możemy przekonać się choćby na przykładzie wicemarszałka Stefana Niesiołowskiego, którego sumienie wyprawia takie fikołki, że nawet najzwinniejsi akrobaci otwierają usta ze zdumienia. Nie bez kozery Robert Penn Warren włożył w usta gubernatora Willy Starka to spostrzeżenie, że jak człowiek politykuje, to jego sumienie także.

Ale sumienie – sumieniem, a okazja – okazją. Starsi i mądrzejsi chyba musieli zacząć się zastanawiać, czy w tej sytuacji trzymać jeszcze tego całego premiera Tuska, który musiał powyrzucać najtłuszczej murzyńskich chłopców z rządowej pirogi, czy też przygotować jakąś nową alternatywę personalną, a może i polityczną na tym etapie okupacji III Rzeczypospolitej. Można to wydedukować nie tylko z faktu, że premier Tusk musiał postawić na czele opróżnionych resortów

urzędników z odnośnych ministerstw – oczywiście z wyjątkiem Ministerstwa Sportu, ale na sporcie to u nas zna się każdy i to do tego stopnia, że kibice postanowili nie chodzić na mecze, dopóki z PZPN nie ustąpią ubecy. W tej sytuacji zainteresowanie piłką nożną może u nas zredukować się do zera, bo prędzej Słońce zgaśnie, niż ubecy pozwolą pozbawić się takiego dobrego fartu. Mniejsza zresztą o to. Wracając do premiera Tuska i alternatywy, warto odnotować wzmożoną aktywność posła Palikota, który właśnie wezwał premiera Tuska, by po dobru zrezygnował z kandydowania na prezydenta na rzecz „drogiego Bronisława”, czyli marszałka Sejmu Bronisława Komorowskiego, który na tym etapie najwyraźniej wydaje się rozwidce korzystniejszy. Rzeczywiście – Komorowski, jako kandydat rozwidki na prezydenta, jest znacznie lepszy od, dajmy na to, pana dra Andrzeja Olechowskiego, bo ze względu na opozycyjną przeszłość zakamufLOWANY jest lepiej, a ze względu na inne zaszcZŁOŚCI – pewnie też i lepiej trzymany. Poza tym i osoba posła Palikota, jako politycznego mentora premiera Tuska, też rzuca nieco ŚWIATŁA w te mroczne zakąTKI. PosŁu Palikotu bowiem media jak na komendę przestały wypominać biednych studentów, wynędzniaŁych emerytów, a nawet – jak sŁychać – nieboszczyków, którzy zademonstrowali tyle pięknych przykŁadów bezinteresownej ofiarności przy finansowaniu kampanii wyborczej tego polityka. Nieomyłny to znak, że rozwidka powierzyła mu waŻne zadania na odcinku odpowiedniego ukształtowania nie tylko tubylczej sceny politycznej, ale nawet caŁego państwa przyjaznego, więc w tej sytuacji również niezaleŻni dziennikarze musieli dostać stosowne rozkazy. Ale premier Tusk na razie się nie poddaje. Być moŻe liczy na sukurs ze strony Naszej Pani Anieli, do której przecieŻ bęDzie zarówno w tej, jak i w innych naszych sprawach naleŻaŁo ostatnie sŁowo, zwŁaszcza teraz, kiedy w sobotę, 11 paŻdziernika, prezydent Kaczyński podpisał Traktat lizboński.

Autor: Stanisław Michalkiewicz

ŹródŁo: [Tygodnik „Goniec” z Toronto](#)